

Stado – 5 – Służba

12 listopada 2010

„Bądź pewien, że w odpowiedzi na szacunek, zapytania i służbę, i tobie objawią tę wiedzę mędrcy dostrzegający prawdę.”

Bhagawadgita IV – 34

– Sir. Proszę o kilka godzin snu. Już mi nogi odmawiają posłuszeństwa – Koen, nie pytając o pozwolenie zwałił się ciężko w przepastny fotel stojący przy biurku, za którym ze zmartwionym wyrazem twarzy siedział sam Warren, właściwy dyspozytor, koordynator sekcji nadzoru szczególnego i analiz, starszy a właściwie stary już, choć w zupełnie nieokreślonym bliżej wieku, kościsty, siwy mężczyzna o jasnych, niebieskich oczach.

– Dobrze Kris, jeszcze tylko małeńkie podsumowanie i daję ci dwanaście godzin luzu – uruchomił interkom i poprosił cicho o niezbędne atrybuty konferencyjne. Po chwili starsza, dystyngowana pani, odwieczna sekretarka Warrena, wniosła ostrożnie dymiący dzbanek z kawą, butelkę znakomitego Martela oraz wszelkie potrzebne przybory, po czym wyparowała dyskretnie.

– Dziękuję sir. Od czego mam zacząć?

– Najlepiej od początku chłopcze.

Koen napił się pośpiesznie kawy, przekąsił małym łykiem koniaku, westchnął cicho i rozpoczął resume.

– No więc dowiedzieliśmy się o sprawie zupełnie przypadkowo. Wiadoma kaseta trafiła najpierw do działu technicznego poprzez komórkę finansową gdzie ten idiota Hunter szukał na niej możliwości identyfikacji Ronsona jako wyjątkowo perfidnego przestępcy podatkowego, drugiego Al Capone. W ogóle nie zwrócił uwagi na meritum. Dopiero pan sir, będąc tam przypadkiem, spojrzał od niechcienia na przeglądany materiał,

no i mamy oto zabawę.

– Tak było – potwierdził Warren.

– Zatem fakty są następujące. Emerytowany przedwcześnie za niesubordynację finansową, badawczą, pedagogiczną i wszelkie inne uniwersyteckie bezceństwa, wysoce niezależny, samodzielny i nieobliczalny profesor fizyki teoretycznej, specjalista od stanów kwantowych, bluźnierca Harvey Garry Ronson, wraz ze swoim wieloletnim przyjacielem, doktorem Sidem Casterem, równie dziwnym i nieszablonowym fachowcem, szalonym programistą automatykiem, zniknęli pięć lat temu z łam prasy i periodyków naukowych gdzie często publikowali wspólnie. Tak nawiasem to chyba dzięki Casterowi i jego matematyce rozbili kilka gonitw, zrujnowali jedno kasyno w Las Vegas i ze dwa razy wygrali główne wygrane na loteriach stanowych. Dziwne, że cieszą się jeszcze dobrym jak widać zdrowiem.

Odsapnął na moment, po czym kontynuował.

– Jak mówiłem, pięć lat temu wymówili dorywcze, korespondencyjne raczej posady na Yale, Harvardzie, MIT oraz kilku innych uczelniach i zniknęli. Przyszło im to tym łatwiej, że tak naprawdę to uwolnili tym samym środowisko od konieczności ciągłego angażowania się w prowadzące donikąd spory, zażarte wręcz, czasami aż wulgarne, kłótnie naukowe. I chociaż podobno są wybitnymi fachowcami, każdy w swojej dziedzinie, to tak naprawdę nikt ich nie chciał. Zwłaszcza gdy wspólnie starali się forsować dziwną, rewolucyjną ich zdaniem teorię wszechrzeczy, z którą zetknęli się gdzieś przypadkowo i o której mówili, że nie są co prawda jej twórcami, ale robią wszystko by dowieść jej prawdziwości. Muszę się pochwalić, że ustaliłem autora tej zaskakującej i tak nawiasem, podobno wcale nie takiej głupiej teorii. – Koen pewien wrażenia jakie wywoła, teatralnym gestem odstawił niedopity kieliszek koniaku.

– Naprawdę? A któż to taki? – Warren z zainteresowaniem

nachylił się nad biurkiem i kolejny raz wyszedł na jaw łysiejący fragment czubka jego dziwnie podłużnej czaszki.

– Zdziwi się pan sir, ale to jakiś Węgier czy też Czech, nieznany nikomu fizyk, a raczej nietuzinkowy autor science fiction, dość znany amatorom tego gatunku. Nazywa się Adam Snerg-Wisznewsy, tak jakoś, a jego teoria to ni mniej ni więcej tylko „Jednolita Teoria Czasoprzestrzeni”.

– Ha! Czytałeś to?

– Jeszcze nie, lecz podobno rzecz jest niezwykle trudna do zdobycia a poza tym sam pan wie co się ostatnio dzieje.

– No tak. W takim razie kontynuuj.

– Zatem jak powiedziałem, Ronson i Caster zniknęli i nikt się o nich nie martwił, zwłaszcza, że faceci nie są obciążeni rodzinami. Caster ma co prawda bogatą siostrę w Cleveland, ale nie utrzymuje z nią żadnych kontaktów. To, że jest on w tę sprawę wmieszany to mówiąc prawdę nic pewnego, zwłaszcza, że jego nazwisko nie występuje w żadnym dotychczasowym materiale, jednak założę się, iż działają razem. Dobrana para. Tak więc miesiąc temu kilku poważnych facetów z przeróżnych branż otrzymuje kasety video ze znaną nam zawartością i jak się okazuje skutecznymi propozycjami finansowymi za coś, co i tak należy do ich obowiązków. Taka psia uroda naszych wspaniałych decydentów. Następnie większość, a właściwie wszystkie te kasety, przechodzą przez nasze laboratoria gdzie ustalamy co następuje:

Po pierwsze zapis wykonany jest bezbłędnie technicznie, na aparaturze profesjonalnej. W rachubę jednak wchodzi kilka typów kamer i sprzętu montażowego; Sony, Philips, Toshiba, JVC, Akai, tak, że ten ślad nigdzie by nas nie zaprowadził. Po drugie w sekwencjach, że tak powiem lotniczych, jest tylko jedno cięcie które bierze się z konieczności adresowania tekstu mówionego na tle akcji do różnych osób. Spokojne prowadzenie kamery, jakość najazdów i właśnie brak cięć

świadczą o rzetelnym przygotowaniu operatora do kręcenia. Albo robił to zawodowiec albo ktoś jak mówię starannie przez zawodowca przygotowany. Po trzecie nasze analizy i nasi konsultanci wykluczają oszustwo od strony technicznej, to znaczy przy tym sposobie filmowania i tej jakości nie ma mowy o komputerowej synchronizacji przebitek, efektach specjalnych i wklejkach. Jednym słowem ten Chevrolet i ta kanapa fruwały NAPRAWDĘ. Stąd zresztą nasze zainteresowanie sprawą.

I wreszcie, zauważone na filmie, cztery małe czerwone pudełeczka, przytwierdzone pod karoserią Chevroleta, gdyby istotnie były źródłem jakiejś siły nośnej, co zresztą na to wygląda, powinny być przytwierdzone właśnie tam gdzie były, to znaczy po rogach obiektu. Chłopcy z laboratorium próbowali te fragmenty obrazu powiększać, zwłaszcza taki jeden cwaniaczek chciał ustalić coś na podstawie rodzaju doprowadzeń elektrycznych.

Stwierdzono jedynie, że pudełka to blaszane, wyklepane na kolanie osłony maskujące, pomalowane zwykłym pędzlem, a doprowadzenia sterujące czy też zasilające, powtykane są byle jak i okręcone banalnym przylepcem medycznym. Prowizorka, zresztą nie ma się czemu dziwić bo samochód oraz kanapa i tak poszły na straty, dość efektownie jak pan widział.

– Zastanawiający jest powód użycia przez Ronsona vocodera zniekształcającego dźwięk – wtrącił Warren. – Czyżby nie chciał byśmy mieli pewność, że to on?

– No właśnie! To samo dotyczy maski. Myślę, że chodzi o co innego, mianowicie o to by nie został przedwcześnie, może nawet przypadkowo zlokalizowany. W końcu późniejsze telegramy jakie otrzymali nasi adresaci kaset nadane były o tej samej godzinie z terenu całego kraju, z przypadkowych zupełnie budek telefonicznych, co już jest jawną prowokacją. I to czekanie na adres imprezy. Sir! Oni wiedzą, że my wiemy.

– Ba. Oczywiście, że wiedzą – Warren przed chwilą włożył do

ust miętową pastylkę i teraz seplenił trochę. – Potwierdza to analiza psychologiczna i charakterologiczna kaset jak też telegramów. Ten Ronson i spółka to sprytne bestie. Nie pozwolą byśmy wcześniej niż potrzeba znali miejsce imprezy. A zresztą nasza praca tylko wtedy jest sensowną i przynosi jakieś zadowolenie gdy mamy do czynienia z takimi właśnie ludźmi. Całą pozostałą, prymitywną hołotą, tym szajsem ludzkim niech się zajmuje policja i administracja porządkowa.

– W takim razie sir, zostaje nam zdefiniować jasno zagrożenia związane ze sprawą i odpowiednio się na to przygotować. Pomijam tu naturalnie obcy wywiad techniczny i wojskowy – to się rozumie samo przez się.

– Oj Kris, nic dodać nic ująć. Zdaje się, że będę musiał wcześniej niż zamierzałem, wprowadzić cię w istotę naszej pracy – Warren wstał zza biurka i spojrzawszy w okno, jakoś tak skosem w górę, podszedł do siedzącego wciąż w fotelu Koena.

– Na razie jednak idź wypocząć, a po zakończeniu sprawy będziemy mieli czas na wszystko. Poza tym dziękuję ci za zwięzłe i precyzyjne opisanie problemu na jaki trafiliśmy przypadkowo, jak mówisz.

Narada najwyraźniej była skończona i Koen pożegnawszy się z szacunkiem, pojechał do hotelu gdzie mieszkał już od dwóch lat, gdyż mimo inteligencji którą dysponował niewątpliwie, był człowiekiem nad wyraz ambitnym i angażował się w swojej pracy bez reszty. Do tego stopnia, że nie miał ani rodziny ani domu, co było z wyraźną korzyścią dla jego dyspozycyjności i operatywności. Niezmiennie imponował mu Warren, bezpośredni przełożony, piastujący tę funkcję od zawsze. Trochę kostyczny, chwilami tajemniczy, miewający zaskakujące pomysły i skojarzenia. Był niedościgłym wzorem.

Koen nie orientował się za bardzo w schemacie organizacyjnym Firmy, jednak z tego co słyszał i czego sam się domyślał,

jedynym i ostatecznym szefem Warrena był sam Prezydent, a raczej kolejni Prezydenci. Stąd pewnie jego lekka i trzeba przyznać uzasadniona w tej sytuacji, lecz jednocześnie nie nadmierna wyniosłość, sporadyczna protekcyjność wypowiedzi oraz sądów. Tak czy owak pracowali razem już sześć lat i Koen raczej nie narzekał. Wręcz przeciwnie. Dysponował swoim czasem jak chciał, miał w zasadzie wolną rękę w doborze współpracowników i metod pracy oraz wydawałoby się nieograniczone możliwości w używaniu kont operacyjnych, toteż godził się chętnie na czasem niezrozumiałe przerywanie spraw w toku i narzucanie przez Warrena ni stąd, ni zowąd nowych, dziwnych nieraz, nawet jak na specyfikę firmową zadań.

Był ze swojej pracy zadowolony prawie całkowicie. Jedyne, do czego nie mógł się jak dotąd przyzwyczaić to konieczność współdziałania z przeróżnymi, nieraz zastanawiająco nieszablonowymi osobnikami, zresztą pracownikami tej samej Instytucji. Ale w końcu rozumiał doskonale taką potrzebę. Zadania jakie wykonywał były często krańcowo dziwaczne a specjalizacja fachowa w Firmie posunięta aż do przesady. Choćby niedawna sprawa porwania córki znanego miliardera i popularnego senatora.

Zamiast, jak należałoby się spodziewać, zajmować się ustaleniem miejsca pobytu porywaczy, negocjacjami czy próbą odbicia nieszczęsnej dziewczynki, Koen, na osobiste życzenie Warrena, opiekował się oszalałym z rozpaczyny ojcem. Jak się opiekował! Oczywiście za zgodą pokrzywdzonego, przy pomocy dwóch dziwacznych specjalistów – jeden to podobno wybitny anestezjolog a drugi jakiś pokraczny, karzełkowaty radiesteta czy parapsycholog – obserwowali i rejestrowali na specjalnej, wymyślnej aparaturze stany emocjonalne fatalnego rodzica.

Krótko mówiąc okleili go przeróżnymi czujnikami i drogą radiową rejestrowali nieustannie wszystko co przeżywał w trakcie przebiegu całej afery. Facet początkowo protestował, ale w końcu zgodził się na bzdurne eksperymenty, przymuszony koniecznością i nawet przekonany jakąś ad hoc wymyśloną przez

Koena opowiastką o najnowszych metodach lokalizacji kidnapców. Córkę w końcu rzeczywiście całą i zdrową, znalazło FBI a bandziorów skazano na dożywocie. Jednak Koen, dostarczając później Warrenowi raporty i kilogramy kaset z wszelkimi możliwymi zapisami interesujących go przebiegów, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że to właśnie te zapisy były wyłącznym celem angażowania się całej grupy w sprawę porwania.

Albo znana już chyba wszystkim w Firmie afera podsłuchowców. To naprawdę było coś. Pewnego dnia Warren zlecił mu nadzór nad prowadzoną już prawie rok pełną analizą psychosocjologiczną wyspecjalizowanych służb podsłuchowych CIA, a ściślej bezpośrednio zajmujących się nasłuchem agentów. Jezu, co to było za zadanie. Z racji podobieństwa służb i częstych kontaktów, znał w CIA mnóstwo ludzi, nawet szefa LRS – Local Registration Section. Przymuszony zadaniem, prawie co drugi dzień spędzał z nim wieczór w niedalekiej knajpie a facet niestety lubił zdrowo pociągnąć. Czego się wtedy nie nasłuchiwał od niego i jego ludzi którzy też tam bywali i również nie wylewali za kołnierz. Pewni, że robią to w ściśle własnym środowisku, nie krępowali się zupełnie i wywalali swoje żale, swoje parszywe kompleksy każdemu kto chciał im pokiwać przy kieliszku głową. Nigdy by nie przypuszczał, że można wykonywać tak podły zawód i jeszcze sobie z tego wieczorami w specyficzny, tajniacki sposób żartować.

Natychmiast po każdej takiej sesji, z głową jak beczka kiszanej kapusty, musiał w nocy pisać szczegółowy raport i na rano dostarczyć go szefowi. Jego koledzy, współpracownicy w akcji, uczestniczyli w tym także i mieli podobne kłopoty z kacem. Niektórzy nawet z wątrobą. Knajpa stała się szybko znanym z pijaństwa i burd lokalem, gdzie podobno gromadzą się niewyraźni osobnicy, pracujący w specjalnych, tajemniczych agendach rządowych. I tak było rzeczywiście. Stąd policja omijała to miejsce z daleka, mimo nieustannych skarg okolicznych mieszkańców, zmuszanych co wieczór do wysłuchiwania pijackich śpiewów i dzikich wrzasków

sfrustrowanych haniebną robotą agentów. Pamięta zwłaszcza jednego, o dziwnym nazwisku Cameron, znanego w środowisku jako Krik Plastelina. Dlatego Plastelina, że używał w swojej robocie specjalnie preparowanej przez siebie plasteliny, służącej do przemysłnego mocowania miniaturowych nadajników.

Pewnego wieczoru siedzieli razem przy barze i otumaniony piątą kolejką Krik, wypłakiwał się cierpliwemu Koenowi.

– Powiedz Kris, do czego to podobne? – Krik seplenił trochę na skutek trwałego uszkodzenia szczęki w jakiejś szkolnej jeszcze bójce. Którą zresztą przegrał.

– Co?

– No... ten sukinsyn zaczyna się znowu stawiać.

– Kto?

– Kto? Mój e... zasrany szef.

– O co mu chodzi?

– Jak zwykle – Krik wypił swoją porcję szkockiej z sokiem. – Mówi, że jak nie przekażę mu plasteliny, to mnie zgnoi.

– A po co mu twoja plastelina?

– Baaa... On... ta świnią, chce żeby wszyscy mieli... moją plastelinę.

– No... jest szefem – ostrożnie zaproponował Koen.

– A co ze mną? Przestaną być... przestaną być... kimś. – Krik o mało nie zapłakał.

– Nie przejmuj się. Nie dasz mu i koniec.

Po chwili, gdy opróżnili kolejne kieliszki, Plastelina zaczął się bez opamiętania chwalić.

– Wiesz, że ona trzyma się nawet kory drzewa?

– Nie mów?

– Słowo. Raz nagrywaliśmy jedną cholerną parę w parku, jakiegoś wszawego redaktorka z jego flamą i... mu... siałem przykleić coś ze trzydzieści nadajniczków, wiesz, pinesek.

– Wiem stary.

– I wiesz co? Wisiały tam prze tydzień i żadna, he, he, nie odpadła. Pojmujesz?

– Ho, ho!

– Ale najlepsze jest to, że dwie pineski zapomnieli później zdjąć. Po miesiącu, przy raporcie magazynowym, brakowało dwóch sztuk. Barany. Namierzali je przez dwa dni po całej okolicy.

– No i co?

– Zna... znaleźli w końcu. Na drzewach. Regularnie przyklejone. Mimo deszczu. Przyswajasz? To jest brachu Plastelina! – Plastelina o mało nie spadł ze stołka barowego. – To się trzyma wszystkiego, nawet osranej dupy!

Plastelina gotów był jeszcze roztaczać przed Koenem niezmiernie możliwości swojego wyrobu, ale nie wytrzymał trudów sesji barowej i w końcu rzeczywiście spadł na podłogę. Trzeźwiejsi koledzy odwieźli go do domu, a wykończony Koen spędził pół nocy nad stosownym raportem. I tak prawie co wieczór. Straszne.

Ale najwyraźniej wysiłek się opłacił. Warren ustalił zdaje się pewne, interesujące go prawidłowości charakterologiczne, zgromadził wystarczający materiał psychoporównawczy i akcja została zakończona. Burdy i rozróby ustały jak nożem uciął, po czym właściciel knajpy zbankrutował i wyniósł się podobno gdzieś do Kanady. Takie to właśnie najdziwniejsze zadania wykonywał Koen.

Cóż. Nie jego w końcu interes, nie on jest Koordynatorem.

Jedno jednak jest pewne – gdyby szef zlecił mu jakąś robotę wyraźnie dwuznaczną moralnie lub ewidentnie sprzeczną z prawem, nie wykona jej. Również, a może przede wszystkim dlatego, że został wychowany przez matkę na zaangażowanego katolika – nie jakiegoś ortodokse czy fanatyka, ale wierzącego i praktykującego pilnie, godnego szacunku mężczyznę. Wykształcenie uniwersyteckie i czytanie nic do tego nie miały. Paradoksalnie, utwierdzał się z wiekiem w swoich przekonaniach, w swoim typowo włoskim, choć był Włochem zaledwie tylko po dziadku, kulcie Maryjnym.

Nie obnosił się ze swoją wiarą, nie był wojującym członkiem Kościoła ale też i nie wstydził się tego. Dwukrotnie, przy jakichś okazjach, rozmawiał z szefem niezobowiązująco na tematy religijne. Odniósł wtedy wrażenie, że został potraktowany jako ktoś komu należy się rodzaj uprzejmego, zdawkowego i nieco współczującego zainteresowania. No ale może to tylko wrażenie? W trakcie chyba tych rozmów, zgłosił Warrenowi swoje obiekcje co do ewentualnych, nie całkiem w porządku akcji i spraw. Ten pokiwał tylko głową i spytał Koena czy słyszał kiedykolwiek od któregośkolwiek pracownika o tego typu wrednych zadaniach? Koen musiał przyznać, że oczywiście nie i to był koniec kwestii.

I oto ponownie siedzi w centrum jakiejś dziwacznej, pogmatwanej, emocjonującej i trzeba przyznać, ciekawej afery, nie ogarniając do końca wszystkich jej aspektów i możliwych konsekwencji, o co zawsze, jak się wydaje, dbał jego enigmatyczny szef.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

Autor: golesz (golesz@wp.pl)

Nadesłano do „Wolnych Mediów”